

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marii Starewskiej.

TOM I.

19

Z początku stała cicho i patrzyła na kawałek ogrodu, który widniał w ciemności, na wyschlą ziemię, dziko rosnące różane krzaki i małe drzewka mimozy, niewyraźne, jakby ładne cienie. Chudy, ciemno brunatny pies z złotymi oczami, wychylił się z nocy, i stanął przy niej drżąc, i niespokojnie się jej przypatrując. Nie widział go, gdyż spoglądała na niebo, zasiane gwiazdami, które się tak iskrzą, na afrykańskim niebie. Brunatny pies wciąż stał, drżąc i raz po raz zwracając na nią oczy.

Z zakrytej rzeki dochodziła daleka pieśń żeglarzy — jedna z tych pieśni o Nilu, pełna ognia i smutku, którą nubijscy żeglarze lubią.

— Sz — sz — sz!

Mrs. Armine spostrzegła psa i gniewnie odpędziła go w ciemność.

— Co to jest Ruby? — zabrzmiał silny głos z góry.

Drgnęła.

— Ch! Jesteś tam Nigel?

— Tak. Co się stało?

— To tylko jakiś szkaradny pies. Co tam porabiałeś?

— Patrzałem na gwiazdy. Czy nie cudowne dzisiaj?

Był w jego głosie gorący, prawie dziecinny entuzjazm, z którym się już oswoiła.

— Tak, cudowne. O! znowu ten pieśń sz — sz — sz!

— Zejdę na dół i odpędzę go.

Za chwilę był przy niej.

— Gdzie ta mała bestia?

— Znowu odszedł, przestraszyła go. Ah! przyniosła mi płaszcz ty troskliwy człowieku.

Pomógł jej go włożyć. Czyniąc to dotknął się jej ramion i oczy mu zabłyśły, a opalone policzki lekko się zarumieniły. Lecz zaraz wyraz jego twarzy się zmienił, wyglądał, jakby coś zwalczał. Zaprowadził ją do hotelu i spokojnie obok niej usiadł. Nubijszyk przyniósł kawę i uśmiechając się wyszedł. Mrs. Armine zajęła się nalewaniem kawy, a Nigel zapalił cygaro.

— Turecka kawa dla mego pana i władcy — rzekła, przysuwając mu filiżankę.

— Muszę się nauczyć ją przyrządzać.

Spojrzał na nią i wyciągnął rękę po filiżankę.

— Czy czujesz się u siebie, w domu, Ruby?

— Tak mały przeciąg czasu tu jestem — odrzekła — pamiętał, że jeszcze nie zmrużyłam tutaj oka. Lecz jestem pewna, że się będę czuła u siebie. A ty?

— Ja, nie zdaję sobie jeszcze sprawy z tego, co czuję.

Powoli pił kawę.

— To taka ogromna zmiana — ciągnął — a byłem tak długo sam. Naturalnie miałem furę przyjaciół, ale mimo tego często się czułem samotnym, tak, jak i ty, Ruby. Wszak prawda?

— Rzadko kiedy czułam się inaczej.

— Lecz dzisiaj?

— O! dzisiaj — wszystko jest inaczej dzisiaj. Ciekawam.

Zatrzymała się. Siedziała na fotelu, z głową opartą o poduszkę, patrząc na niego z lekkim, ironicznym uśmiechem w oczach i kącikach ust.

— Ciekawam — ciągnęła dalej — co Mayer Iseacson pomyśli?

— O naszym małżeństwie?

— Tak. Czy sądzisz, że go to zdziwi?

— Nie — wątpię.

— Nie ukrywałeś je przed nim?

— Nie mówiłem o małżeństwie, ale on wiedział trochę o moim uczuciu dla ciebie.

— Z tem wszystkiem, przypuszczam, że będzie zdziwiony. Kiedy otrzymamy pierwszą pocztę, przynoszącą nam opinię wspaniałomyślnego, kochanego, miłego świata?

— Ruby, kłóby tam dbał o to, co o nim myślał lub mówił?

— Mężczyźni nam często nie wierzą, lecz my, kobiety, jesteśmy ogromnie wrażliwe, niż sobie możesz wyobrazić. Co do mnie — takbym chciała, żeby moi bliscy zechcieli mnie polubić.

— Dlaczego nie chcieli? Dlaczego nie chcieli? — powtórzył — lecz tej zimy będziemy żyli tylko dla siebie, będziemy się poznawali wzajemnie, uczyli kochać najlepszą, najpiękniejszą miłością Ruby, wynajęłam tę willę, gdyż myślałam, że się tobie będzie podobała, że będzie niezłą na nasz pierwszy dom. Lecz chciałem cię zabrać do Sennoures. Po naszym młodowym miesiącu pojadę tam na kilka dni obejrzeć roboty i przygotować coś dla ciebie. Wystaram się o najlepszy namiot w Kairze, będziesz ze mną mieszkała w obozie. Tam jest dalej od wszystkiego, co cywilizowane, żyje się bliżej z naturą. W Londynie, zanim prosiłem o twoją rękę, wyobrażałem cię sobie w Sennoures. Mój obóz bywa zwykle rozłożony nad wodą i w nocy, jak moi ludzie śpią okryci kocami, a wielbłądy leżą rzędem z głowami zwróconymi w stronę namiotu, miałem zwyczaj wychodzić sam i słuchać koncertu żab. To brzmi jak jednorodna nuta fletu i trwa całą noc! Będziesz przychodziła nad wodę i słuchała razem ze mną. To dziwne, jak takie małe zwierzątko pobudza wyobraźnię. Nawet teraz, na myśl o tym fletcie egipskiego Pana. — Urwał i głos jego przeszedł w coś, co nie było właściwie śmiechem, lecz w którym brzmiał śmiech i coś innego jeszcze: „Dzięki Bogu mamy długą zimę przed sobą, Ruby — kończył — i daleko od świata!”

— Daleko — daleko od świata. — Powtórzyła zwolna jego słowa.

— Muszę jeszcze napić się trochę kawy — rzekła zmienionym tonem.

— Uważaj, nie będziesz mogła spać tej nocy.

— Nigel, czy życzysz sobie, żebym tej nocy spała?

Spojrzał na nią, lecz nie odpowiedział.

— Nawet, gdybym nie miała spać, chcę się napić. A przytem siedzę do późna.

— Lecz dzisiaj, jesteś zmęczona.

— To nie.

— Sądzę, że żyjesz przeważnie terazniejszością — rzekł Nigel.

— A ty przyszłością.

— Czy tak? z czego to wnosisz?

— Mój instynkt mówi mi o tem i o innych rzeczach o tobie.

— Będzie mi się zdawało, że jestem szklanny.

— Żyj więcej terazniejszością. Żyj terazniejszością dzisiaj.

Było naleganie w jej głosie, w spojrzeniu jasnym, niebieskich oczu, błyszczących nad podmalowanym cieniem, w delikatnej, ciepłej dłoni, którą położyła na jego rękę.

— Nie troszcz się przyszłością!

Uśmiechnął się.

— Ja się nie troszczę, tylko patrzę naprzód.

— Na co? Jesteśmy tutaj, żeby żyć, jakbyśmy mieli tylko tę jedną noc przed sobą. Mówisz o Sennoures. Lecz kto wie, czy ujrzymy kiedy Sennoures, czy usłyszymy egipskiego Pana nad wodą? Ja nie wiem i ty tego nie wiesz. Lecz wiemy, że jesteśmy dzisiaj, tutaj, nad Nilem.

Z całych sił, lecz ostrożnie, starała się zniszczyć w nim duchowe pragnienia, będące treścią jego życia i przez które zyskała go za małżonka. Teraz one ją tylko niecierpliwiły i zawstydzaly i stały poprzek jej życzeniom.

— Tak — odrzekł, — jesteśmy nad Nilem i słyszymy śpiew żeglarzy.

Dalecy śpiewacy zamilkli na parę minut, poczem ich głosy odezwały się znowu bliżej ogrodu, jak gdyby się znajdowali na statku, płynącym w dół rzeki, pod gwiazdzistym niebem.

Śpiew był już tak blisko, że Mrs. Armine mogła rozróżnić pojedynczy głos:

— Al lahl! Al lahl! Al lahl! — głosowi towarzyszył głęboki i monotony dźwięk, pochodzący z uderzenia w „darabrukkch“, który śpiewak trzymał na kolach. Chór nosowych głosów połączył się z dziką zapalczywością, mającą w sobie coś smutnego i coś, co chwilami zdawało się przenikać jak okrucieństwo świata, a jednocześnie w tym śpiewie odzywała się nuta tęsknoty za ukojeniem.

— Słyszemy śpiewających żeglarzy — powtórzył Nigel — śpiewają o Allahu, zawsze o Allahu, o Bogu Nilu, o Bogu nas obojga na Nilu.

— Sz — sz — znowu ten ples. Chciałabym...

Zaczęła mówić z nagłą, prawie gorączkową determinacją, lecz natychmiast nad sobą zapomniała.

— Czy ogrodnik nie mógłby go stąd wyprowadzić? — rzekła spokojnie.

— Może to ples ogrodnika. Pójdę zobaczyć, zaraz wrócę.

— Wstał z fotelu i poszedł za psem, który uciekł do ogrodu, patrząc wokół swymi złotymi oczami, czy mu niebezpieczeństwo nie grozi.

— Allah — Allah — Allah — w nocy.

Mrs. Armine wówczas nie wiedziała i nawet w następnych dniach nie przypuszczała, że ten śpiew nubijskich żeglarzy stanie się integralną częścią jej pobytu nad Nilem; lecz pomimo tego słuchała go z natężoną uwagą.

— Allah — Allah — Allah!

— A prawdopodobnie, Boga niema — myślała. — Jakim sposobem mógłby być? Jestem pewna, że go niema.

Przed oczyma jej wyobraźni, wyłonił się nagle z ciemności Mayer Iseacson i patrzył jej w oczy, tak, jak patrzył w swym konsultacyjnym gabinecie, kiedy podniosła welon i zwróciła twarz do światła. Zamknęła powieki. Poco myśleć teraz o nim? poco przywoływać go przed sobą?

Usłyszała lekki szmer, drgnęła i otworzyła oczy. Przy otwartych szklanych drzwiach, stał cicho Ibrahim i uważnie na się patrzył. W zębach trzymał kwiat. Jak zobaczył, że go spostrzegła, postąpił z wdziękiem naprzód i uśmiechając się, pochylił trochę i luternie głowę.

— Jak powiedziałeś, że się nazywasz? — zapytała Mrs. Armine.

Wyjął kwiat z zębów, podał go jej, poczem ujął jej rękę, pocałował, pochylił nisko czoło i położył ją na niem.

— Ibrahim Ahmed, my Lady.

Spojrzała na jego złocistego koloru szaty, narzucony europejski żakiet i na zieloną, ze złotą frandzlą chustkę, którą przewiązał turban i która mu zakrywała szyję i spadała na piersi.

— Bardzo ładnie — powiedziała z uznaniem — ale żakiet mi się nie podoba, wygląda zanadto po angielsku.

— To podarek z Londynu, my Lady.

— Al lahl!

Śpiew żeglarzy brzmiał co raz głośniejsze, ognistiej, przenikliwiej, fanatyczniej.

— Co to za śpiewacy Ibrahim? — spytała Mrs. Armine. Przypięła jego kwiat do swej sukni, rozpinając przytem płaszcz. Zdają się ciągle zbliżać. Czy płyną w dół rzeki?

— Przypuszczam, że są na faluce, my Lady.

To Nubijscy, zawsze śpiewają tę pieśń, to ładna pieśń.

Zwolna poruszał głową, w takt muzyki, a pomiędzy fałdami zielonej ze złotem jedwabnej chustki, jego ładne oczy ciągle na nią patrzyły.

— Nubijscy? — rzekła — lecz Luksor nie jest w Nubii.

— Nubia jest przy Assnan. Obeliski stamtąd pochodzą. Jutro pokażę obeliski my Lady. Niema dragoma, którzyby tak dobrze wszystko wiedzieli o obeliskach jak Ibrahim.

— Jestem tego pewna. Ale — czy wszyscy żeglarze są Nubijskimi?

— Nie — odrzekł.

— Lecz ci, co teraz śpiewają?

— To są Nubijscy, my Lady, to ludzie Mahmoud Barondi.

— Żeglarze Barondi'ego! — zawołała Mrs. Armine.

Wyprostowała się w fotelu.

— Ale Mahmoud Barondi nie jest tutaj, w Luksorze?

Ładne oczy Ibrahima, stały się neraz ostre, błyszczące.

— Czy pani zna Mahmoud Barondi, my Lady?

— Spotkaliśmy go na statku płynącym z Neapolu.

— Bardzo wielki! Wielki jak Ramzes Drugi! Jak posąg samego króla, który stoi przed Ramesseum, oczy u niego duże jak moje i włosy nad nim rosną ot tak! — Połknął swe brunatne ręce i naszkicował dziwnie narysowane brwi Barondi'ego.

Mrs. Armine skłoniła głowę, Ibrahim wyciągnął rękę w stronę Nilu:

— To jego nubijscy ludzie, są w jego dahabijah, czekają na niego. Nie mają nic do roboty i dlatego czynią „fantasua“ wieczorem.

— Czy Barondi przybędzie do Luksoru?

Ibrahim spokojnie kiwnął głową.

(Ciąg dalszy nastąpi).